

# Stanisław Falkowski

---

## Itaka i Soplicowo ("Przedwiośnie" po latach)

---

Rocznik Towarzystwa Literackiego imienia Adama Mickiewicza 36, 73-86

---

2001

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

*Stanisław Falkowski*

## ITAKA I SOPLICOWO (PRZEDWIOŚNIE PO LATACH)<sup>1</sup>

Powieść Żeromskiego jest powszechnie znana jako książka o rewolucji i jako książka o Polsce idealnej i realnej. Krytyka – i propaganda! – usiłowały nieraz przypisać *Przedwiośniu* w zakresie każdego z tych tematów jednoznaczne, niekoniernie zgodne z intencjami pisarza idee.

On sam w pierwszej sprawie wypowiedział się jednoznacznie: „oświadczam krótko, iż nigdy nie byłem zwolennikiem rewolucji czyli mordowania ludzi przez ludzi z racji rzeczy, dóbr i pieniędzy – we wszystkich swych pismach, a w *Przedwiośniu* najdobitniej, potępiałem rzezie i kaźnie bolszewickie. Nikogo nie wzywałem na drogę komunizmu, lecz za pomocą tego utworu literackiego usiłowałem, o ile jest to możliwe, zabiec drogę komunizmowi, ostrzec, przerazić, odstraszyć”<sup>2</sup>.

Co do drugiej kwestii, trudno wątpić, że w *Przedwiośniu*, jak i w całej twórczości pisarza, Polska idealna stanowi przedmiot wielkiej tęsknoty, dalekosiężnych marzeń i projektów. Nie oznacza to przecież, by nie kochał Polski niedoskonałej, z błotnistą mięsciną, którą ojczyzna wita Cezarego, i z Nawłocią, która nie jest tylko anty-Soplicowem. Jak odczytać proporcje między rozdrapywaniem polskich ran, marzeniami spadkobiercy romantycznych mesjanistów i czułością wobec kraju, w którym pisarz zna po imieniu każdy obłok i liść? To jedno z pytań, które warto ustawicznie ponawiać.

Wielka klasyka w ogóle wymaga ustawicznego powtarzania i odnawiania interpretacyjnych pytań. Choćby dlatego, że doświadczenia, którymi nas obdarzają i obciążają upływające dziesiątki lat, wydobywają z półmroku jej wcześniej niedoceniane znaczenia. *Przedwiośnia* dotyczy to w najwyższym stopniu. O tej powieści, wyrosłej z polskich i ludzkich doświadczeń pierwszej ćwierci XX wieku, teraz, gdy wiek ten zdążył już upłynąć, można śmiało powiedzieć, że jest czymś o wiele więcej niż doraźną diagnozą, przestrogą czy apelem. *Przedwiośnie* – choć to nie wyczerpuje jego sensów – odsłania się po latach jako wielka diagnoza

i przepowiednia kryzysu całej cywilizacji, dająca się porównać z dziełami Kafki, Huxley'a czy Bułhakowa, a nieznaną czytelnikom najslawniejszych książek XX wieku raczej ze względu na język i uwikłanie w polskie sprawy niż z powodu swojej mniejszej wagi. Żeromski rozważa różne aspekty tego kryzysu, z proroczą przenikliwością podejmując między innymi temat człowieka odciętego od korzeni – wielki problem minionego wieku i naszej współczesności.

### ZAGŁADA ITAKI

Seweryn Baryka wyruszył na wojnę, I wojnę światową, jako oficer armii rosyjskiej, wyposażony w „świętną walizkę z grubej, żółtej skóry, z metalowym okuciem, z wyciśniętym inicjałem i mnóstwem wewnątrz tajemniczych przegródek” (21<sup>3</sup>). Straci ją – pięć lat później, skradzioną w przechowalni bagażu w Charkowie, i ta strata symbolicznie przypieczętuje koniec epoki: koniec epoki zdarzeń przewidywalnych, hierarchii trwających mimo wojny, ładu zachowywanego nawet wśród szczęku oręża. Wraz ze wspaniałą walizką utraci ostatnie ślady przedrewolucyjnego dostatku, bieliznę, ubrania, lekarstwa, bezcenne szczątki cywilizowanego świata wśród porewolucyjnej dżungli, ku którym wraz z synem „dążyli” (75), jak ku ziemi obiecanej, z Baku do Moskwy przez nieprzyjazne przestrzenie zrewoltowanej Rosji. Razem z drogocenną walizką przypadnie też na zawsze najcenniejsza rodzinna pamiątka, „pewien tomik niepokąźny, specjalnie pielęgnowany niczym w skarbcu klejnot najdroższy”, „pamiętniczek z wojny 1831 roku, napisany i wydany na emigracji przez autora bezimiennego”, w którym „była [...] na stronie trzydziestej siódmej podana wiadomość” o powstańczych zasługach Kaliksta Grzegorza Baryki, dziada Seweryna (13).

Biblijna Arka Przymierza zaginęła, lecz przecież nie zapomniano treści przykazań wyrytych na kamiennych tablicach, które w sobie kryła. Przypadek rodzinnej „arki przymierza” Baryków także nie oznaczał zagłady pamięci. Najistotniejsza treść tej pamięci – myśl o Polsce, poznanej tymczasem przez Seweryna nie z historycznej kroniki, lecz w legionowych marszach, przemieniła się z marzenia o dawnej chwale rodu w marzenie o współczesnej Ziemi Obiecanej – Polsce szklanych domów.

Teraz ma zostać przeniesiona w przyszłość nie na kamiennych tablicach, ale wyryta w sercu Cezarego ojcowskimi słowami.

Kiedy Seweryn Baryka po latach wraca z wojennej tułaczki, jego postać nie przypomina dumnego oficera ze „świętną” walizką w ręku. Powraca w żebraczych łachmanach, które zdradzają jego ubóstwo i zarazem kryją tożsamość w nie-

spokojnych rewolucyjnych czasach („Wszyscy mię znali. Mógłby mię który przez jaką zemstę wydać” – [71]). Syn, przymusowo zatrudniony przy grzebaniu ofiar tureckiego pogromu Ormian, „w ciągu szeregu dni dostrzegał w tumie nędzarzy i nędzników pewnego czelczyń, który stale trzymał się w jego pobliżu” (68) i słyszał

śpiew obląkanego, w którym dźwięczało coś jakby imię jego własne spieszczone:  
– Czarus – Czarus – Czarus... (69)

Gdy wreszcie rozpoznał ojca,

tamten podźwignął się ze swych kamieni i ociężałe, nucąc swoje, powlókł w kierunku miejsca najmniej efektownego, do kloaki z tarcie stojącej między rowem umarłych i koszarami Żnierzy. (70)

Tam

chwyciły go ręce ojcowskie.

Teraz już nie było wątpliwości! To były ręce, oczy, usta, piersi ojcowskie! Głowa młodzieńca z westchnieniem niewysłowionego szczęścia, z jękiem upojenia spoczęła na piersiach ojca. Ręce tamtego objęły chłopca w ramiona. [...] (70)

Oczy jego zaszyły ciężkimi łzami, które pewnie w tej chwili od szeregu lat po raz pierwszy przerwały tamy męczarni jego duszy. Zaszlochał, głucho zalkał na piersiach syna. (71)

Potajemne powitanie... w ustępie wymownie świadczy o epoce nowego barbarzyństwa, gdy ujawnienie najprostszyc ludzkich uczuć mogłoby grozić zagładą powracającemu z wojny tułaczowi. Ideał – ideał ojcowsko-synowski uczuć – sięgnął w tym okrutnym świecie, depreczającym najświętsze ludzkie więzi, nie bruku, ale polowej latryny.

\*

To nie jest pierwsze w literaturze potajemne spotkanie syna z powracającym z wojny ojcem. W tajemnicy przed otoczeniem dał się przecież synowi rozpoznać powracający po dwudziestu latach Odys:

„Jam nie bóg, i nie mogę równać się z niebiany.  
Jam twój ojciec, twoimi łzami oplakany,  
Dla któregoś wycierpiał tyle, duchem mężnym  
Opierając się łotrom na nasz dom sprzysiężnym”.  
Rzekłszy to, pocałował syna, łza po licach  
Mu pobiegła, choć długo więził ją w źrenicach.

Ale syn, choć go widział, uwierzyć nie zdołał,  
 Że to ojciec [...]  
 (*Odysėja*, przekł. L. Siemieńskiego, XVI 199–20)

Wreszcie, upewniony, że ma przed sobą w istocie Odysa, Telemach „w zachwycie / Do serca cisnął ojca, łez wylewał strugi” (XVI 226–227). Podobnie Cezary: „utulił [szlochającego ojca] w ramionach. Podparł go i ugłaskał drżącymi rękoma” (71).

Ojciec powracający po latach z wojennej tułaczki, syn, który tymczasem z dziecka (u Homera niemowlęcia, u Żeromskiego czternastolatka) zdążył się przemienić w dorosłego młodzieńca (tam – dwudziesto-, tu dziewiętnastoletniego), wzajemna czułość i tajemnica, jaką osłaniają swoje spotkanie przed groźnym otoczeniem – te wszystkie motywy Żeromski powtarza za Homerem (autorem świetnie przecież mu znanym jeszcze z kieleckiego gimnazjum). Woln porzypuszczać, że nieprzypadkowo.

Powtarza je po to, by stworzyć miarę przepaści dzielącej mityczną Itakę sprzed tysiącleci i historyczne Baku z roku 1919. W Itace Odys, prawowity król, z pomocą ukochanego syna wkrótce przywróci porządek: wybije zgraję podłych zalotników i niewierne sługi, obejmie na nowo we władanie swoje dziedzictwo i spocznie w ramionach wiernej Penelopy. Seweryn Baryka, Odys XX wieku, odzyskuje swoją Itakę tylko po to, by zaraz z niej uchodzić. Penelopa nie żyje, królewski pałac przepadł, majątek rozgrabiono, a na powracającego wojownika nie czyha setka zalotników utuczonych jego własnym jadłem i opitych jego winem, lecz całe armie zdziczałych morderców w wojskowych mundurach lub pod rewolucyjnymi sztandarami.

Żeromski z genialną intuicją – w 1924 roku, gdy najkrwawsze zbrodnie tyranów XX wieku należą jeszcze do przyszłości! – kreśli rysy nowej epoki, niepodobnej do niczego, co było wcześniej. Przed trzema tysiącami lat i jeszcze w XIX wieku Odys mógł wątpić, czy ujrzy rodzinne brzegi. Krwiożerczy cyklop Polifem, gniew boga mórz Posejdona, choroby i sztormy – to wszystko mogło go pozbawić na zawsze radości powrotu do ojczyzny. Tylko jednej przyczyny nie mógłby sobie wyobrazić, tej właśnie, która spełniła się w XX wieku: że to nie on zginie w drodze do ojczyzny, lecz że przestanie istnieć Itaka<sup>4</sup>.

## DROGA DO NAWŁOCI

Opis drogi, którą przyjaciel z okopów wiezie Cezarego do rodzinnego dworu Wielosławskich w Nawłoci, może się wydawać aż nazbyt dokładny:

Hipolit zawrócił z gościńca w boczne oplotki, w wąską drożynę między chlopskimi działkami, gdzie dwie koleje, rozdzielone wysokim pasem przez kola w ciągu wielu lat wyoranej skiby, kędzierzawym po wierzchu od gęstej murawy, biegły w przestrzeń, równolegle jak dwie szyny. (135)

Każdy przecież zna widok takiej polnej drogi. A jednak ten opis nie jest bezużyteczny. Zwracano nieraz uwagę, że Homer w opisy przedstawianych przedmiotów wbudowuje ich dzieje. Tu Żeromski czyni to samo. Ale dzieje polnej drogi do Nawłoci nie składają się ze zdarzeń wyjątkowych i dramatycznych. Przeciwnie: wyrzeźbiły ją wicki powszedniej obecności i pracy okolicznych wieśniaków. Jej „rzeźba” nie przypadkiem została porównana do rzeźby zaoranego pola.

Kiedy czytamy, jak młody Baryka, zacickawiony pytaniem, „co też tam będzie na końcu tej dróżki uroczej”, zbliża się do nowego Soplicowa, mamy sobie pomyśleć nie tylko o wyglądzie, dobrze nam znanym wyglądzie polnej drogi, którą się porusza, lecz i o jej historii. O pokoleniach ludzi, którzy tę drogę przemierzali przed nim. To ich wozy wyżłobiły „dwie koleje” podobne do równoległych szyn, to ich obecność naznaczyła tym najpowszedniejszym piętnem oblicze krajobrazu.

Cezary, sam o tym mnie wiedząc, zbliża się do odwiecznego „centrum polszczyzny”: wiejskiego dworu. I sam o tym nie wiedząc, napawa się przy tym widokiem stanowiącym ślad i znak odwiecznej obecności mieszkańców Polski w swoim kraju. Niełatwo mu się z tą Polską zrosnąć. Lecz niemało go łączy, choćby i o tym nie wiedział, z krajem, za który razem z Hipolitem narażał własne życie. Teraz wpatruje się w jego krajobraz, milczący portret prac i dni swoich nieznanych przodków, i – sam o tym nie wiedząc – zrasta się i z tym krajobrazem.

## SOPLICOWO

Przyjazd do Nawłoci przenosi bohatera powieści w ciągu niewielu godzin w inne wymiary rzeczywistości. Rozpędzony czas XX wieku nagle się zatrzymuje i cofa: Cezary – rówieśnik tego stulecia – z ogarniętego krwawym chaosem wojennych i rewolucyjnych mordów Baku, z okopów wojny 1920 roku, z miasta (Warszawy) trafia do – Soplicowa.

Mickiewiczowska aluzja jest jawna i rozbudowana. Oto w wieczór przyjazdu „Jaśnie-Hipcio” wymienił „uściski serdeczne” „z prastarym Maciejuniem” (143) – jak Tadeusz z Wojskim. Rankiem, „wypawszy się znakomicie”, Cezary ujrzał (z okien „Arianeki”, dawnego zboru, gdzie nocował), że położony niżej „Dwór był drewniany, lecz na kamiennych podmurowaniach” (153), a potem (już w pokoju stołowym we dworze, gdzie zjawił się najpierwszy), rozmarzony widokiem ognia, „doznał przerwy w swych myślach, niczym Tadeusz Soplica po przyjeździe na

wieś” (157). Gdy w chwilę później spłoszył grzejącą się przed ogniem Karolinę, ta „runęła we drzwi z takim impetem, że o mały włos nie wyrwała ich z zawias” (158). „Stare, spaczone drzwi długo deszcze chwiały się na przerażonych hakach i szczękały wystraszoną klamką” (tamże). Sytuacja dobrze nam znana z Soplicowa:

Grządki widać, że były świeżo polewane;  
Tuż stało wody pełne naczynie blaszane,  
Ale nigdzie nie widać było ogrodniczki;  
Tylko co wyszła; jeszcze kolyszą się drzewiczki  
Świeżo trącone;  
(*Pan Tadeusz*, I 93–97; por. IV 144–146)

W Nawłoci na pierwszy rzut oka wszystko jest jak tam, nad Niemnem: dwór „z drzewa, lecz podmurowany”, panicz, przybywający do tego dworu o schyłku dnia, Maciejunio podobny do Wojskiego, a może do Protazego, nawet te chwiczące się drzwi i „kawusia” ze śmietanką (159). Ale zarazem wszystko jest inaczej – jakby ktoś zmaćcił czyste odbicie w zwierciadle wody.

W Soplicowie „świeciły się z daleka pobielane ściany” – w Nawłoci świecą światła w oknach, bo panicz przybywa już po zmroku. Sam panicz... rozdziwił się na dwóch paniczów, z których jeden, Cezary, okaże się „dziwnym [...] gościem”(293), siejącym w nawłockim zaciszu zamęt i zniszczenie. Wojski na powitanie „ręce rozkrzyżował / I z krzykiem podróznego ścisnął i całował” (*Pan Tadeusz*, I 160–162) – Maciejunio z „Hipciem” ścisnąją się przy odkorkowywaniu butelek „za dużą szafą kredensową” (143). Wdzięczne „drzewiczki” potrącone przez zjawiskową panienkę zmieniają się, jak już wiemy, w groteskowe drzwi „szczękające” „wystraszoną klamką” (oczywiście jak człowiek szczękający zębami ze strachu). Dwór nie stoi „na pagórku niewielkim”, lecz właśnie w zagłębieniu terenu.

Pisarz bawi się tymi analogiami i przeinaczeniami, ale i wypowiada przez nie ważną myśl: że „nowe Soplcowo” straciło łagodność i dostojeństwo pierwowzoru. Sielanka ustępuje grotesce, gdy Wanda (nawłocka Zosia) – ucicka przed perliczką (nigdy by się to nie zdarzyło Zosi w Soplicowie, młodej boginie domowego ptactwa). Później zaś – za sprawą tejże Wandy – trucicielki, mordującej rywalkę, groteska zamienia się w makabrę. Czy możemy sobie wyobrazić Zosię, która zabija, powiedzmy, Telimenę? Arsenik w Soplicowie?

\*

W *Wiernej rzece* Żeromski wysławiał dwór bohaterski. Już półzburzony, już opuszczony przez niemal wszystkich mieszkańców, póki w nim trwała jedna mężna panna i póki strzegł jej jeden wierny sługa, ten dom pozostawał szańcem, arką, azylem, oazą i świątynią. W *Szyzofowych pracach* i *Ludziach bezdomnych* – opłakiwał jego utratę – utratę domu dzieciństwa. W *Przedwiośniu* pokazuje jego trwanie jako przeniesionej z czasów staropolskich we współczesność Arkadii i krainy obfitości.

Maciejunio, dostrzegłszy rannego gościa na sofie, zafrasował się, zamartwił, o mało nie płakał. [...] Nakryto stół i piorunem wniesiono koszyki z chlebem żytnim, z bulkami własnego wypieku, z suchymi ciasteczkami i rogalikami. Maciejunio własnoręcznie naznosił słoików z miodem, konfiturami, konserwami, sokami. Tu podstawił „maselko”, tam rogaliki. Pod siwym przystrzyżonym wąsem uśmiechał się spoglądając na pewien słoik, który nieznacznie wskazywał, i coś „ośmielał się” szeptać na jego wielką, bardzo wielką pochwałę; (159)

Pieszczotliwe zdrobnienie „maselko” przywodzi na myśl nawet nie Mickiewicza, lecz Reja.

\*

Trzeba jednak pamiętać, że kilkanaście godzin wcześniej na ganek nawłockiego dworu Cezary „wstępował po szerokich i wspaniałych, aczkolwiek dziwnie ruchomych stopniach schodów” (137). Nagłowicka i soplicowska Arkadia trwa w postaci nawłockiego dworu, lecz już zaczęła się kruszyć i niszczyć. Fizycznie, a także duchowo. Dwór, którego mieszkańcy o krok od ludzi cierpiących ubóstwo zjadła „urządzili sobie [w każdym razie zdaniem Cezarego] kult, obrzęd, nałóg, obyczaj i jakąś świętość” (288), Soplicowo dotknięte rozpustą i zbrodnią nie jest już świątynią dawnych cnót, schronieniem bezpiecznym jak „cicha wieś litewska”, spokojna, „kiedy reszta świata / We łzach i krwi tonęła” (*Pan Tadeusz*, I 893–894), nie jest krainą niewinnego dzieciństwa.

W niespokojnej epoce Żeromski szuka punktów oparcia. Dlatego buduje to swoje Soplicowo, ale i sam je burzy. Buduje, żeby przeciwstawić odwieczne zaciśnięcie polskiego szlacheckiego dworu wirowi szaleństw, w które popadł świat. Burzy, by to zaciśnięcie postawić pod znakiem zapytania, powiedzieć, że się wykoślawiło, ulega zepsuciu. Bada, czy współczesny wygnaniec i sierota, straciwszy rodziną Itakę, nie mógłby w miejscu takim jak Nawłoc, we współczesnym Soplicowie, odnaleźć jej na nowo.



Odys nie wiedział, czy powróci do rodzinnej Itaki, ale wiedział, że ona istnieje i czeka. Mickiewicz nie był pewien, które pokolenie wygnańców powróci z Paryża do Soplicowa (*Pan Tadeusz – Epilog*), ale był pewien, że Soplicowo nie przestało istnieć. Żeromski, który pokazał zagładę Itaki, nie jest pewien, czy nie dotknie ona również Soplicowa.

## OJCZYZNA DUSZY

Czy Nawłóć jest zdolna do odgrywania roli nowego Soplicowa i godna tego zadania? To właśnie jest niepewne. Przestała być "świętym i czystym" „krajem lat dziecinnych” (*Pan Tadeusz – Epilog*, 68–69), dla Cezarego w ogóle nie jest „krajem lat dziecinnych”. A przecież pozostaje **domem**. I Cezary, choć tego nie rozumie, natychmiast to czuje.

Cezary przysiadł na poręczy ganku. Był odurzony. Był pijany, ale nie winem. Pierwszy to pewnie raz od śmierci rodziców miał w sercu radość, rozkosz bytu, szczęście. Było mu dobrze z tymi obcymi ludźmi, jakby ich znał i kochał od niepamiętnych lat. Wszystko w tym domu było dobre dla uczuć, przychylne i przytulne jak niegdyś objęcia rodziców. (145)

Wprawdzie za chwilę, teraz pijany już winem, będzie ostrzegał Hipolita:

– Strzeż się, bracie! Pilnuj się! Za tę jedną srebrną papierošnicę, za posiadanie kilku srebrnych łyżek, ci sami, wierz mi, ci sami, Maciejunio i Wojciunio, Szymek i Walek, a nawet ten Józio – Józio! – wywleką cię do ogrodu i głowę ci rozwalą siekierą. (145)

Wcześniej jednak zdążył pomyśleć, że:

Wszystko tu było na swoim miejscu, dobrze postawione i rozumnie strzeżone, wszystko pociągało i wabiło, niczym rozgrzany piec w zimie, a cień wielkiego i rozłożystego drzewa w skwar letni. (145)

Nazajutrz, w czasie poobiedniej przejażdżki:

wózek [wiozący Karolinę, księdza Anastazego i Cezarego] zatrzymał się obok czterech starych lip, tak starych, że się je kochało od pierwszego spojrzenia. (187)

Nawłóć wraz z okolicą to **kraina, którą się kocha**. Żeromski nie wie, czy się ona oprze okropnościom, które zaczęły już wstrząsać dziejami straszliwego stulecia. Nie może wiedzieć o zagładzie czekającej polskie dwory po 1945 roku. Dobrze wie natomiast, co przeżywa przybywszy do tej krainy. Bohater jego powieści, który dotąd nigdy w podobnym miejscu nie był, w zetknięciu z tą Arkadią, Czarnolasem (lipy!), Soplicowem doznaje spontanicznego poczucia bliskości. Tu odnaj-

dują się jak u siebie ludzie, którzy nigdy wcześniej nie zakosztowali soplicowskiego sposobu życia – z jego niespiesznym rytmem, z jego wiejskimi przyjemnościami i serdecznymi więziami z ludźmi, których tu zna się i kocha „od niepamiętnych lat”. Czy to nie znaczy, że ów sposób życia jest naturalnym, **ludzkim** sposobem życia? Spełnieniem głębokiej tęsknoty niespokojnych serc – tęsknoty szczególnie dotkliwej w epoce, której rany odsłania i bada Żeromski, ale zarazem powszechnej.

Mówi o tej tęsknocie niezrównana scena rozmowy Karoliny i Cezarego nad stawem, następująca zaraz po cytowanym fragmencie. Po mostku „z okrągłaków” przedostali się oboje „z drogi wjazdowej na groblę zarosłą wysoką trawą” i poczuli

zapach zwiędłej olszyny i zapach wodnych ziół rosnących poza groblą w wilgotnych wądołach. Stańli na najwyższym miejscu grobli i przypatrywali się stawowi. Był piękny w swej barwie, rozległości, ciszy. Urok zapomnienia, odosobnienia, bytu poza światem, samotności poza wszystkim uśmiechał się do przybyszów z tej wdzięcznej na wejrzenie, samoswojej wody.

Dwoje młodych wygnańców wkracza w zaczarowaną przestrzeń, która ogarnia ich swymi zapachami i ciszą. Świat traci tu swoje zwykłe wymiary:

W nieruchomej tafli jej [wody] odbijały się wysokie olchy ocieniające młyn i dwie ruchome postaci – Karoliny i Cezarego. W zakręcie rzecznym, szerokim ramieniem uchodzącym między żółte sitowia, dwie dzikie kaczki-krzyżówki beztrwożnie przepływały. Cezary został wprost uderzony przez wrażenie, że już to miejsce zna, już je widział niegdyś – że już tu był. Co więcej – dziwnie niesamowity żal ściszał mu serce na widok samowładztwa tej wody – jakby za tym miejscem tęsknił latami. „Jakimże sposobem to być może? – zadawał sobie pytanie. – Byłoż to niegdyś we śnie, już tak dawno przespanym, że zginął do cna w pamięci?” I oto wtedy przepłynęło przez jego serce dziwaczne a przejmujące słowo: „sekula”.

– Ach! – westchnął z głębi – prawda... Przypominam sobie. Toż to za takim oto stawem, za własną jakąś „sekulą” moja matka przepłakała swoje życie. (188–189)

Nie należy tu lekceważyć szczegółów stylistycznych i obrazowych. Należą do nich zwłaszcza dwa związane z wodą motywy: odbić, które przez odwrócenie i podwojenie sylwetek tworzą atmosferę czarodziejskiej tajemniczości, i płynięcia. Kaczki-krzyżówki „przepływały” „w zakręcie rzecznym”; przez serce Cezarego „przepłynęło” „dziwaczne a przejmujące słowo”. Rzeczywistość fizyczna i rzeczywistość myśli, jawa i marzenie, terażniejszość i wspomnienie, zjednoczone użyciem tego samego czasownika, zaczynają się przenikać i mieszać, Cezary zaś pogrąża się w przeżywanej właśnie chwili i ogarniającej go przestrzeni, a zarazem od nich odrywa, ogarnięty tęsknotą, która trawiła jego zmarłą matkę, by odczuć swoją własną tęsknotę do domu, do miejsca, w którym się jest u siebie, do ciszy i dostąpić wtajemniczenia we wspólną tęsknotę wszystkich ludzi.

Ach! – westchnął z głębi – prawda... Przypominam sobie. Toż to za takim oto stawem, za własną jakąś, „sekułą” moja matka przeplakala swoje życie.

Z podwójną zachłannością objął oczyma tę tutejszą „sekułę” i nie mógł nasycić się jej widokiem. Patrzył na chmurki wielobarwne – czerwone, zwiastujące wiatr, i fioletowe, niosące nowe deszcze jesieni – jak przepływały nad czystą taflą. Zabarwiała się wtedy aż do samego dna, stawala się głęboka, przepaścista, niedosięgniona, pełna tajemnic i orchlistego życia tam w głębi. Gdy chmury pozęglowały nad pola, znowu jesienny kolor nieba spływał na czystą powierzchnię. Młyn czarny turkotał i w jego pobliżu nie można było rozmawiać. Panna i Cezary poszli wzdłuż grobli, prowadząc w głębinie wodnej odbicia swoje, doskonale i wierne aż do śmieszności.

– Był taki staw u nas, na Ukrainie... – rzekła panna Karolina.

– Doprawdy? Bo znowu ja widzę w tym stawie ulubione miejsce mojej matki. Takie musiało być to jej miejsce ulubione.

– Każdy ma swoje miejsce ulubione w dzieciństwie. To jest ojczyzna duszy.

– Ja nie mam (189)

Kto wie, czy w ostatnim zdaniu Karoliny nie powinniśmy się dosłuchiwać echa przejmującego wiersza Mickiewicza?

Gdy tu mój trup w pośrodku was zasiada,  
W oczy zagląda wam i głośnie gada],  
Dusza w ten czas daleka, ach, daleka,  
Błąka się i narzeka, ach, narzeka.

Jest u mnie kraj, ojczyzna myśli mojej,  
I liczne mam serca mego rodzeństwo;  
Piękniejszy kraj niż ten, co w oczach stoi,  
Rodzina miłsza niż całe pokrewieństwo.

Tam, wpośród prac i trosk, i wśród zabawy,  
Uciekam ja. Tam siedzę pod jodłami,  
Tam leżę śród bujnej i wonnej trawy,  
Tam pędzę za wróblami, motylami.<sup>5</sup>

Trudno w tym wierszu oddzielić dosłowny krajobraz wspomnień z dzieciństwa od metaforycznego pejzażu uczuć – niedosytu zaznanego nawet w codziennym obcowaniu z bliskimi i błogości wypełniającej duszę, która wędruje do krainy wspomnień i pragnień. W każdym razie „ojczyzna myśli” z wiersza Mickiewicza i „ojczyzna duszy” Karoliny to obszary niedostępne dla człowieka, który by gardził bólem i pociechą wspomnień, a żył tylko pospolitą chwilą.

Chwila nad stawem w Chłodku nie jest pospolita. Karolina i Cezary doznają **cuđu**: czas odwrócił kierunek, a oni powracają: jedno – do ojczyzny straconej, drugie – do ojczyzny nieznannej, lecz nagle obleczonej w materialne kształty. Przed obojgiem na chwilę otwiera się brama do utraconego raj. Lecz każde widzi przez tę bramę trochę co innego. Karolina, podobnie jak Cezary wygnana ze świata swo-

jego dzieciństwa i osierocona – rodzinną Ukrainę, dom, zabitych bliskich – to wszystko, co już zdążyła swoim kobiecym sercem pokochać i co dzień oplakuje. Ona nie jest zaskoczona. Jest zasmucona i rozmarzona, lecz już wtajemniczona: w cierpienia okrutnego wieku i w gorycze i pociechy upływającego czasu i wiernej pamięci.

Przeżycia dwudziestoletniego mężczyzny są inne. „Z podwójną zachłannością objął oczyma tę tutejszą »sekulę« i nie mógł nasycić się jej widokiem.” Cezary przeżywa coś olśniewająco nowego! Bardzo możliwe, że nigdy dotąd nie był nad takim stawem. Kiedy dorastał – wśród innych krajobrazów, nad Morzem Kaspijskim! – słyszał, że „na Sekule był »także« bardzo piękny staw” (10) (musiał słyszeć, inaczej nie znalazłby nawet nazwy: „Sekula”). Wtedy jednak, niezdolny jeszcze do pojęcia przeżyć tęskniącej matki i wyobrażenia sobie tego miejsca, zapewne puszczał jej wspomnienia mimo uszu. Teraz widok takiego stawu „obejmuje oczyma” „z podwójną zachłannością” – „podwójną”, bo patrzy nań oczyma własnymi i oczyma zmarłej matki, zagląda w świat jej przeżyć, które nareszcie zaczyna pojmować.

Tym bardziej przejmująco zabrzmia za chwilę wygłoszone przez niego zaprzeczenie:

- Każdy ma swoje miejsce ulubione w dzieciństwie. To jest ojczyzna duszy.
- Ja nie mam.

Tęsknota do własnej „sekuly” do własnego „Soplicowa” czy stawu na Ukrainie jest przyrodzonym przeżyciem człowieka. Cezary jednak to **człowiek nowej epoki**. Pozbawiwszy go w chłopięcych latach majątku, a potem w ogóle wszelkich dóbr materialnych, matki, ojca i domu, **nim zdążył dorosnąć** do przywiązań dojrzałego człowieka, pozbawiła go ta epoka również owej tęsknoty. Żeromski opisuje brutalną epokę, która burzy domy, wypędza z ojczyzn, zabija bliskich i zrywa więzy człowieka z ludźmi – a wreszcie z własną przeszłością, z własnymi wspomnieniami, z samym sobą!

Ale na dnie smutku błyszczy promień nadziei. Cezary mówi, że **nie ma** swojej „ojczyzny duszy”. Jego przeżycie w Chłodku nie jest zatem, przynajmniej tymczasem, własne. Jest jednak rzeczywiste. Znalazł się niespodzianie w „ojczyźnie” matki, nie we własnej „ojczyźnie”. Lecz nie mógłby jej odkryć, gdyby nie miał matki, gdyby ta matka szczerze nie tęskniła i gdyby on jej tęsknoty nie znalazł. Oto jeszcze jeden dar, jaki zmarła pani Barykowa ofiarowuje ukochanemu jedynakowi. Zaplata dla niej za wierność wobec samej siebie i dla Cezarego za późne, lecz szczerze zbliżenie się do matki. „Cicha żona” Seweryna, „pochlipująca stale i wiecznie [...] za miastem rodzinnym” (16), nie wiedziała przed laty, że to „pochlipywanie” stanie się w przyszłości bezcennym darem dla jej syna.

Każdego z nas można pozbawić domu, ojczyzny, bliskich – ale nie można, póki żyjemy, odebrać nam ziaren **ludzkich** przeżyć, które blisicy zdążyli zasiał w naszych duszach choćby w najbardziej nieludzkim świecie.

## PRASTARY MACIEJUNIO

Po pierwszych powitaniach Hipolita i Cezarego:

Gdy zajęto miejsca przy stole, a przybył jeszcze rządcą, pan Turzycki, oraz dwie ciocie podstarzałe, jedna wdowa – Aniela – druga stara panna – Wiktoria – gwar się stał nie byle jaki. Stary służący Maciejunio ledwie mógł nadążyć z odkorkowywaniem. Nawet mu źle szło z tymi korkami. Musiał mu sam panicz. „Jaśnie-Hipcio”, pomagać, co doprowadziło za dużą szafą kredensową do tajemniczego zrujnowania hierarchii – po prostu do uścisków serdecznych Jaśnie-Hipcia z prastarym Maciejuniem. (143)

Epitet „prastary” zwyczajnie towarzyszy nazwom przedmiotów, budowli, drzew („prastary dąb”), zwyczajów. Użycie go wobec osoby jest z jednej strony zabawne jako groteskowa depersonifikacja postaci, a z drugiej znaczące. **Prastary** Maciejunio ma przypominać wrośnięte solidnie w ziemię drzewo i wrośnięty solidnie w dusze mieszkańców jakiegoś kraju czy okolicy zwyczaj; ma się kojarzyć z czymś, co w swojej istocie pozostaje niezależne od jednostkowej ludzkiej woli i nie podlega zmianom. Stanowi część (miejscowego) świata pełnego harmonii i równowagi.

„Prastary” to ponadto przymiotnik obdarzony określonym zabarwieniem emocjonalnym: dźwięczy w nim nuta swojskiej zażyłości i zarazem otaczanego ciężką dostojnością. Nic dziwnego, że następnego ranka w odpowiedzi na „wielką, bardzo wielką pochwałę” „pewnego słoika”, „który [Maciejunio] nieznacznie wskazywał”:

Cezary przysiągł mu oczyma, iż odwiąże opakowanie słoika i skosztuje, a nawet sięgnie dokumentnie do wnętrza: (159)

Przysiągł – niczym wodzowi lub duchowemu przewodnikowi! Przymiotnikiem „prastary” Żeromski jakby poklepuje tego przewodnika, wprowadzającego w nawłocki świat, po ramieniu, ale też bierze go w ramiona i całuje w spracowaną dłoń. Z wielkiego świata, który drży w posiadach, wstrząsanego konwulsjami rewolucji, dwóch wojen, mordów i grabieży, Cezary, Kandyd XX wieku, przybywa do starego, bezpiecznego domu. W progach tego domu wita go stary sługa, stanowiący część jego fundamentów, jego feudalnej hierarchii i jego odwiecznego ciepła.

## TOKAJ JAŚNIE-HIPCIA

Maciejunio sam strzeże tej hierarchii, zagrożonej ze strony... Hipolita. Gdy „starzy parobcy” zaczęli witać młodego dziedzica nawłockich włości, „strzelając mu dawnym obyczajem z batów na wiwat”, dobrze już podchmielony

Jaśnie-Hipcio niezbyt pewnymi rękoma uzgarniał w dolnych pieczarach kredensu naręcze butelek, tak bez wyboru i tak szczerze, aż mu niektóre zgorszony Maciejunio musiał delikatnie wydzierać – bo jakże! – sam szczerozłoty tokaj jeszcze nieboszczyka jaśnie pana – fernalom! (144)

„Jaśnie-Hipcio” to oczywiście pomieszanie oficjalnego: „jaśnie pan”, z jakim zwracają się do spadkobiercy nawłockich włości słudzy, i poufatego zdrobnienia z rozmów w rodzinnym gronie. Narrator z rozbawieniem uśmiecha się na myśl o tym dziedzicu, który jeszcze na dobre nie wyrósł z „Hipcio” na jaśnie pana i który tak malowniczo nadwątła swój pański majestat żołnierską rubasznością i chłopięcą niefrasobliwością. Językowy żarcik wyraźnie zarazem akcentuje dystans między bohaterami i ich mową a narratorem; bo przecież tylko on może tak powiedzieć: „Jaśnie-Hipcio” (a także: „w dolnych pieczarach kredensu”) – nie żaden z bohaterów.

Ów dystans wcale nie przeszkadza, by styl bohaterów najściślej przesycał mowę narratora. W *Przedwiośniu* narrator co chwila, właściwie nieustannie, bardziej lub mniej otwarcie udziela głosu postaciom. Tak dzieje się i tutaj: „aż mu niektóre zgorszony Maciejunio musiał delikatnie wydzierać” – to jeszcze mówi narrator „od siebie”; lecz dalszy ciąg zdania: „bo jakże! – sam szczerozłoty tokaj jeszcze nieboszczyka jaśnie pana – fernalom” – to już niemal dosłowne przytoczenie słów Maciejunia (ściślej: pomieszanych z jego myślami – epitet: „szczerozłoty” Maciejunio raczej sobie pomyślał niż wypowiedział).

Narrator wciąż przerzuca się między wieloma punktami widzenia, czasem w obrębie jednego zdania; nigdy nie można na pewno przewidzieć, czyimi słowami i w czym imieniu zostanie wypowiedziane najbliższe zdanie. Czytelnik musi dostrzegać te przeskoki, musi być w ustawicznym pogotowiu. Bo tak jak narrator – musi umieć w każdej chwili być bliskim każdego z bohaterów. I tak jak narrator – musi przy tym umieć zawsze pozostać sobą. Ma bowiem bohaterów rozumieć, ma patrzeć ich oczami, ma ich często lubić – lecz ma ich także przenikać i osądzać.

A żeby ich lubić – i żeby sądzić – musi ich dobrze znać. Szczegół – gest, wyraz twarzy czy rzucone słowo – pozwala poznać bohatera dokładnie. Epizod z butelkami to jedna z niezliczonych migawek, w których ze szczegółów wyłaniają się przed oczami czytelnika żywi ludzie.

## Przypisy:

<sup>1</sup> Fragmenty przygotowywanej książki: *Sily nieznanne. Tajemnice „Przedwiośnia”*.

<sup>2</sup> *W odpowiedzi Arcybaszewowi i innym*, „Echo Warszawskie” z 25 II 1925; cyt. za: Z. J. Adamczyk, *„Przedwiośnie” Stefana Żeromskiego w świetle dyskusji i polemik z 1925 roku*, Warszawa 1989, s. 306.

<sup>3</sup> Liczby w nawiasie oznaczają numery stron w: Stefan Żeromski, *Przedwiośnie*, Warszawa 1974 (*Dziela*, oprac. tekstu S. Pigoń, t. 19). Wszystkie cytaty wg tego wydania.

<sup>4</sup> Za spostrzeżenie analogii między powrotem Seweryna Baryki i powrotem Odysa wyrazy wdzięczności zechce przyjąć jego autorka, p. Karolina Michalska. Warto dodać, że Homeryckie tro-py Żeromski wskazuje ironicznie sam, gdy o tureckiej „piechocie dardanelskiej”, uczestniczącej w wymordowaniu ośmiuset kapitulujących Anglików, mówi, że wcześniej „na polach dawnej Troi dała się Anglikom dobrze we znaki” (59).

<sup>5</sup> Tekst wg: A. Mickiewicz, *Dziela. Wydanie Narodowe*, t. I: *Wiersze*, Warszawa 1948, s. 377.